EPOKA

ROK V. Warszawa, 25 września 1938 r. Nr 27 (130)

OD REDAKCJI

Artykuły „Epoki" już napisane i wydrukowane, oświetlające wypadki, które zaszły do południa dn. 23-go września, musieliśmy wycofać przed samym oddaniem numeru na maszynę, gdyż przyjęty za podstawę naszej analizy ówczesny stan faktyczny stał się zupełnie nieaktualny wobec błyskawicznego tempa zachodzących niemal z każdą godziną zmian w konfiguracji i w treści stosunków międzynarodowych. Konieczność redakcyjnego i technicznego przepracowania niemal połowy zeszytu wpłynęła na dwudniowe opóźnienie numeru.

PO GODESBERGU

W chwili, gdy ten artykuł idzie do drukarni, sytuacja międzynarodowa staje pod znakiem zwłoki. Można więc przypuścić, że nie nastąpią zbyt wielkie zmiany aż do dnia, kiedy dojdzie on do czytelnika. Można więc spróbować naszkicować, przynajmniej w najogólniejszych zarysach, rozwój wypadków i nową sytuację, stworzoną przez te wypadki.

Punktem wyjściowym analizy stać się musi, rzecz jasna, bodaj czy aktualne jeszcze dzisiaj, porozumienie — użyjmy tego, niekoniecznie trafnego, określenia — z Berchtesgaden i, ratyfikujące to porozumienie, uchwały konferencji (pierwszej, z 16 września) londyńskiej ministrów francuskich i angielskich.

Zdaje się, że zupełnie słusznie ujął konsekwencje tych narad dr Zbigniew Grabowski, londyński korespondent „Ilustrowanego Kuriera Codziennego", pisząc:

„Trzeźwy realizm każe stwierdzić, że stoimy w obliczu następujących prawd:

1) Wytyczanie granic przez konsultowanie mocarstw bez zgody gospodarza.

2) Dalsza ustępliwość wobec Rzeszy dla tak zwanego „świętego spokoju", co dowodzi zarówno niegotowości bojowej Zachodu, jak i organicznej niechęci do wszelkiej rozprawy z Rzeszą,

4) Niebywały wzrost pewności siebie Niemiec, idących konsekwentnie ku realizacji imperium germańskiego".

Uchwały londyńskie stworzyły więc zasadniczo nową sytuację. Nową zarówno pod względem prawniczym, „ideologicznym", jak i pod względem faktycznego stosunku sił realnych w Europie.

Zmieniła się sytuacja prawna. Zasada rewizji granic terytorialnych, ustalonych traktatami pokojowymi, została proklamowana po raz pierwszy jako oficjalna doktryna wielkich mocarstw. Co więcej, została proklamowana dopuszczalność tego rodzaju rewizji bez pytania, nawet formalnego, o zdanie tego, o czyim losie właśnie się decyduje. Precedens — słowo tak ulubione przez Anglików — został stworzony. Słusznie pisał o tej sytuacji w „Robotniku" ob. Mieczysław Niedziałkowski: „Stoimy w obliczu sytuacji, która nazywa się: siła przed prawem".

Zmienił się również stosunek sił w Europie Południowo-Wschodniej. To, że bezpośrednio po uchwałach londyńskich zjawili się w Niemczech nietylko panowie Kanya i Imredy, posiadający ważne aktualne sprawy do omówienia w związku z roz-

grywką czechosłowacką, ale i król Borys bułgarski, nie mający tu żadnych zgoła interesów, przedstawiciel państwa, które dopiero przed kilku tygodniami przyjęło wielką pożyczkę francuską i pertraktuje jeszcze o dalsze, jest zjawiskiem wysoce symptomatycznym.

„Czechosłowacja, to tylko etap wielkiego potężnego planu. Kontrola nad Pragą, to krok na drodze do panowania nad basenem naddunajskim. Trójporozumienie zostało zastąpione osią Rzym—Berlin i aneksją Austrii. Niemcy otwierają sobie drogę na Wschód, na stary wilhelmowski szlak, prowadzący na Konstantynopol, na Ukrainę i Kaukaz, do Azji Mniejszej, nawet nad Kanał Suezki". Tak mówi p. André Tardieu, gorący wielbiciel metod faszyzmu francuskiego.

Niewątpliwie, analiza p. Tardieu jest słuszna. Niewątpliwie, decyzja berchtesgadeńsko-londyńska ułatwiłaby w znacznym stopniu realizację tego rodzaju koncepcji. Trudno przypuścić, by po tej decyzji wzrosła w krajach naddunajskich ochota do współpracy z mocarstwami zachodnimi, by wzrosła gotowość do przeciwstawienia się niemieckiej ekspansji. Jakie może być znaczenie Małej Ententy? Nie tylko system fortyfikacji Republiki Czeskosłowackiej ma ulec rozbiciu. Rozbiciu ulega cały system sojuszniczy Francji w Środkowej i Południowej Europie. Rodzi się nowa, niemiecka „Mittel-Europa".

Równocześnie sytuacja mocarstw zachodnich pogorszyła się i na drugm odcinku. Po długich latach „izolacjonizmu" opinia amerykańska, nareszcie, zaczynała interesować się na nowo problemami europejskimi, zaczynała solidaryzować się z Europą Zachodnią.

Po uchwałach londyńskich Ameryka, zniechęcona, zaczęła ulegać ponownie nastrojom „izolacjonistycznym". Prezydent Roosevelt, zapytany na konferencji prasowej, co sądzi o sytuacji międzynarodowej, odpowiedzieć miał: „Najważniejszym wypadkiem w obecnej sytuacji wydaje mi się fakt, że jest mi zimno". Trudno doprawdy o jaskrawszy wyraz niechęci do wypowiadania się w sprawach europejskich.

„Wzmożone samopoczucie Rzeszy", musiało również następnie przyczynić się do osłabienia sytuacji mocarstw zachodnich. Wiadomo, że elementy „umiarkowane" obozu hitlerowskiego ostrzegały kanclerza Hitlera przed rozgrywką sudecką. Teraz „umiarkowani" doradcy kanclerza zostali zdezawuowani przez fakty. Głos ich będzie o wiele słabszy w każdej kolejnej rozgrywce. Wzmocniła się pozycja elementów najbardziej bojowych, najbardziej radykalnych, to znaczy najbardziej wojowniczych.

Nie trzeba było długo czekać na następstwa tych wszystkich przesunięć. Kiedy premier Chamberlain zjawił się w Godesberg, wioząc kanclerzowi Hitlerowi przyjęcie wszystkich jego żądań, zastał zmienioną zupełnie sytuację i zasadniczo zmienione żądania. Nacisk główny leżał na zmianie zasadniczej kierunku polityki czechosłowackiej, objęciu rządów w Pradze przez ugrupowania przyjazne Niemcom, ustąpienie prez. Benesza.

Kiedy dyplomacja Zachodu akceptowała wyniki Berchtesgaden i doręczała, w ultymatywnej formie, żądania niemieckie Pradze, nie chciała ona, sądząc podług tego, co widzimy, zrezygnować w zupełności z pozycji w Europie Południowo-Wschodniej. Sądziła, że okrojona Czechosłowacja pozostanie nadal, choć osłabionym sojusznikiem Zachodu, że uda się, słynnymi „złotymi kulami" Albionu, scementować ponownie coś w rodzaju angielsko-francuskiej reduty w basenie naddunajskim. Mimo naiwności tego złudzenia, Rzesza wolała nie dopuścić do prób jego realizacji. Żądania, tyczące się rekonstrukcji wewnętrznej Czechosłowacji, nie mające coprawda nic wspólnego z prawem do samostanowienia, na które wciąż powołują się Niemcy, miały sens jedyny: usunięcie wszystkich tych, którzy mogliby w okrojonej Czechosłowacji pozostać nadal przedstawicielami „orientacji zachodniej". Ale tak daleko nie sięgały pełnomocnictwa premiera Chamberlaina. Stąd niewyraźny wynik Godesbergu.

Nie będziemy zatrzymywali się nad interpretacją wszystkich, niejednokrotnie sprzecznych ze sobą wersji o spotkaniu w Godesberg. Stwierdźmy rzeczy niewątpliwie: Niemcy, ustami kanclerza Hitlera, przedłożyły żądania nowe, idące dalej od berchtesgadeńskich, premier Chamberlain pierwotnie przeciwstawił się im, później nieco „zmiękł", ale, zdaje się nie będąc pewnym zdania gabinetu nie tylko francuskiego, ale nawet angielskiego, przyjął żądania niemieckie tylko dla „przekazania" ich (a więc nie: polecenia ich do przyjęcia) rządowi praskiemu. Niemcy decydują się czekać jeszcze sześć dni na wynik pertraktacji angielsko-francuskich z Pragą.

Trudno, rzecz oczywista, przewidzieć, jak rozwiną się wypadki w najbliższym tygodniu. Być może, że nacisk City znowu przemoże nad oporem nawet poważnej części konserwatystów, że min. Bonnet przejdzie znowu do porządku dziennego nad wyraźnym zdaniem nie tylko większości opinii publicznej, ale nawet parlamentu francuskiego. Być może także, że stanie się inaczej.

W każdym razie stwierdźmy jedno: mylą się ci, którzy sądzą, że jakiekolwiek „porozumienie" może usunąć realne przeciwieństwo interesów jakie zachodzi pomiędzy Imperium Brytyjskim i Imperium Francuskim z jednej, a Trzecią Rzeszą i Włochami faszystowskimi z drugiej strony. P. Chamberlain może czuć się niezwykle solidarnym z polityką społecznej „pacyfikacji", która — pozornie — tak nadzwyczajnie udała się reżymom totalistycznym, ale to nie znaczy by nawet on chciał, a tym bardziej mógł dać im bez konfliktu to wszystko, czego one żądają i do czego dążą. Czytaliśmy gdzieś w prasie odpowiedź, której udzieliła korespondentowi prasy polskiej zwykła, szara „konsierżka" paryska: „Nie chcę wojny, proszę pana, bo mój syn musiałby pójść na nią, ale boję się, że, jeśli ustąpimy dzisiaj, będziemy musieli wojować jutro w warunkach o wiele gorszych". Kto myśli, że konflikt pomiędzy Mittel-Europą a Imperium Brytyjskim i Imperium Francuskim da się załatwić przez ustąpienie Mittel-Europie paru dolin sudeckich, przekona się wnet o swej pomyłce.

Oczywista, z chwilą gdy dojdziemy do rzeczywistego konfliktu, przewaga będzie po stronie Zachodu. Będzie przede wszystkim dlatego, bo, mimo wszystko, walka jego będzie walką demokracji, chociaż wielko - kapitalistycznych, przeciw faszystowskim dyktaturom, bo towarzyszyć jej będą sympatie ludów całego świata, nawet znacznej części mas ludowych krajów dyktatorskich. Będzie i dlatego, bo przewaga materialna, przewaga zasobów surowcowych, zasobów produkcyjnych, rezerw ludzkich jest i pozostanie po jego stronie. Będzie i dlatego, bo

wtedy Ameryka porzuci znów „izolacjonizm", do którego zapędza ją polityka rządu Chamberlaina, narzucającego swą wolę również i Francji.

Być może, że przed tym dojdzie jeszcze do zmian i przesunięć wewnętrznych w łonie demokracyj Zachodu. Być może, kierownictwo sprawami państwowymi demokracji przejdzie w ręce nowych sił społecznych, mniej obciążonych powiązaniami z kapitałem finansowym Niemiec i Włoch. Myślimy tu o jakiejś formie porozumienia tych elementów prawicy, które dotąd nie straciły zmysłu interesów własnego kraju, z siłami lewicy społecznej, które we Francji i Anglii stanowią dziś jedyny ośrodek konsekwentnego oporu wobec nacisku totalizmów. We Francji jedność poglądów objęła prawicowców de Kerillis i Pertinaxa, lewego socjalistę Żyromskiego i prawicowych socjalistów Lebas i Monnet obok radykała Cota — prawicowe „Figaro" i organ C.G.T. „Le Peuple", podczas gdy przeciw nim stanęli wspólnie niektórzy „pacyfiści", radykał Daladier, prawicowiec Flandin, monarchistyczna „Action Française" obok „lewego socjalisty" Piverta. Właśnie konserwatyści angielscy, tradycyjna partia imperialnego patriotyzmu, właśnie p. Flandin i schneidrowski „Temps", zawodowo biorący w pacht słowo patriotyzm", stali się rzecznikami kapitulacji.

Nie wiemy w tej chwili, jak ostatecznie skończą się pertraktacje nad „nowym planem" z Godesberg. Nie wiemy, czy nie przyjdzie nowy „plan londyński Nr 2", podobny w swej zasadniczej tendencji do „planu londyńskiego Nr 1". Nie wiemy, czy wynikiem rozmów z Godesberg będzie dalsze osłabienie, czy ponowne wzmocnienie pozycji Zachodu.

Nie wdając się w przepowiednie, stwierdzić trzeba jedno: chcielibyśmy aby w ostatecznym rezultacie z tej ciężkiej próby wyszły wzmocnione Francja i Wielka Brytania, by wzmocniła się ich solidarność z „mniejszymi państwami" Europy, by nie zostały zlikwidowane pozycje Zachodu w Europie Środkowej i Południowo-Wschodniej. Pragniemy tego podwójnie: jako demokraci i jako Polacy.

Pragniemy tego jako demokraci dlatego, że — mimo wszelkich zastrzeżeń, jakie żywimy wobec oligarchij rządzących w Anglii i we Francji — wiemy, że każda ich porażka w walce z Mittel-Europą jest zarazem sukcesem totalizmu. Gdzie sięga jego zabójczy wpływ, tam nikną resztki nawet swobód obywatelskich, rzesztki godności ludzkiej, resztki całego tego świata, który zwolennicy systemu obozów koncentracyjnych określają szyderczo mianem świata „demo-liberalizmu", świata XIX wieku. Iskra Wolności nie gaśnie tam wprawdzie, tak samo jak nie gasła w Polsce Paskiewiczowskiej, w Europie Świętego Przymierza. Ale Wolność musi tam jak ongi zejść w podziemia, musi czekać, aż kiedyś same ludy znów ją wyniosą na powierzchnię życia.

Pragniemy tego jako Polacy. Bo wiemy, że jak — słusznie pisze ob. Mitzner w „Dzienniku Ludowym" — „wchłonięcie Sudetów przez Niemcy i rozbiór Czechosłowacji za zgodą Anglii i Francji oznacza ustanowienie hegemonii Trzeciej Rzeszy na lądzie europejskim od morza Północnego do Morza Czarnego", bo wiemy, że, jak pisze on dalej, „możemy pozostać sam na sam z potęgą Wielkich Niemiec", bo pamiętamy niektóre ustępy „Mein Kampf". — Dlatego wierząc, że sprawa Zaolzia załatwiona będzie w drodze obustronnych, pokojowych pertraktacji — stwierdzić chcemy, że nadzieja ta nie zmniejsza naszej troski w obliczu całokształtu sytuacji międzynarodowej. Dlatego solidaryzujemy się w pełni ze słowami, które, równocześnie niemal, padły z ust tak różnych od siebie działaczy i kierunków politycznych jak prof. Stroński i Rada Naczelna P. P. S.: „Bez spółek"! Nie chcemy występować w żadnym wypadku w bloku z Berlinem.

Sytuacja międzynarodowa kraju staje się coraz poważniejsza. Nie dlatego, że, jak o tym bajdurzą nasi „młodzi", o siwych czuprynach, „narodowcy", jakaś tajemnicza przyszłość otwiera się przed „narodami dynamicznymi", o wysokim przyroście naturalnym i o własnym „Führerze", a poprostu dlatego, że, jak już raz w historii, znajdujemy się obok ośrodka gwałtownej ekspansji imperialistycznej. Trzeba być gotowym do obrony. A czynnikiem najważniejszym tej gotowości jest jak najściślejsze zespolenie rzesz ludowych z Rzeczpospolitą. Zespolenie nie szumnymi, uchwalanymi na komendę rezolucjami, nie uzyskanym takimi czy innymi zabiegami „akcesem". Zespolenie przez zapewnienie ludowi polskiemu rzeczywistego udziału w rządzeniu państwem, zespolenie przez demokrację.

ROMAN LANG

Krwawiąca oświata

Ofiarami zamachu bombowego w Łodzi padli nauczyciele: jeden został zabity na miejscu, pięciu zaś ciężko rannych. Siedziba zarządu okręgowego Związku Nauczycielstwa Polskiego wskutek wybuchu uległa zniszczeniu. Tak brzmi sucha notatka kronikarska. Ale ileż tragizmu tai się w tej hiobowej wieści, ileż grozy naszego życia! Któż może wątpić, że z posiewu nienawiści do związkowego nauczycielstwa, szerzonej od lat przez organy mroku i fanatyzmu, powstaje teraz bujny, krwawy plon? Któż nie dojrzy przyczynowego związku między tym wstrząsającym, tyleż okrutnym, co bezmyślnym i haniebnym zamachem zbrodniarzy a długoletnią, jadowitą i oszczerczą kampanią, składającą się z mnóstwa codziennych aktów moralnej zbrodni?

Łódź, miasto, którego bruki pod caratem w bratobójczych walkach spłynęły krwią bojowników niepodległości, dziś wzbogaciło się w nowy, straszliwy symbol: nauczyciel, niosący pochodnię oświaty pada na bruku z ręki spiskowców ciemnoty. Krwawiąca oświata! Dobro, które dokonywa się przez męczeństwo! Ale krew ta, jak ślubowano nad otwartą mogiłą Józefa Łuczyńskiego, zewrze jeszcze bardziej szeregi nauczycielstwa i natchnie je jeszcze silniejszą wiarą w wielkość jego posłannictwa. A w tym posłannictwie nauczycielstwo odczuje jeszcze wyraźniej moralną obecność i połączone siły całego świata pracy, całego oświeconego ogółu.

Społeczeństwo w obliczu wyborów

Minęło już przeszło dziesięć dni od rozwiązania Sejmu i Senatu. Dziesięć dni, w ciągu których wyraźnie i dobitnie zarysowały się zasadnicze fronty wewnątrz społeczeństwa, dziesięć dni, które wykazały, jak złudnymi były wszelkie rachuby takich czy innych grup antydemokratycznych na uzyskanie poparcia w szeregach demokracji.

Niejasnym pozostaje dotąd cel rozpisania wyborów. Niewiadomo, czy chodzi tu o krok, mający na celu przygotowanie pewnych rzeczywistych zmian, jeśli nie systemu, to, co najmniej w systemie, jak przypuszczali niektórzy na podstawie słów orędzia p. Prezydenta o potrzebie ustosunkowania się do ordynacji wyborczej, czy też chodzi, poprostu, o zastąpienie zastępu posłów p. Sławka takimże zastępem Ozonu. Obserwując zachowanie się sfer ozonowych, musi się dojść do wniosku, że ta druga ewentualność jest, w każdym razie ich zdaniem, zasadniczym celem nowych wyborów.

Fakt jeden, niewątpliwy, dominuje nad całością zagadnienia. Oto wybory rozpisane zostały na podstawie starej ordynacji wyborczej p. Sławka. Listy kandydatów nadal będą niezależne od czynnika jedynego, który w wyborach decydować powinien: od wyborcy. „Ustawy wyborcze p. Kozłowskiego — pisze prof. Stroński, obcy zresztą obozowi demokracji w „Kurierze Warszawskim" — mają w sobie znamię doskonałości na odwrót. Gdy zadaniem takich ustaw jest stworzenie społeczeństwu najszerszego dostępu do wyrażania swej woli w wyborach, te ustawy pozostawiły mu li tylko możność głosowania na wyznaczonych poza jakimkolwiek jego wpływem kandydatów".

Pod tym zasadniczym kątem widzenia: stosunku od ordynacji wyborczej, grupują się podstawowe kierunki polityczne kraju.

Odrębnym nieco jest stanowisko „starej" endecji, Stronnictwa Narodowego. Posiadając niewątpliwie największą bazę masową ze wszystkich polskich kierunków totalistycznych, wie ono dobrze, że wybory podług jakiejkolwiek mniej więcej demokratycznej ordynacji wysunęłyby je na czoło frontu faszystowsko-totalistycznego w Polsce. Obecnie zaś, brak oparcia w aparacie państwowym skazuje je na rolę rezerwy, dźwigającej na sobie cały niemal ciężar obrony na terenie „dołów" ludowych, zarówno ideologii totalistycznej, jak i konkretnych przejawów totalizmu w Polsce, a jednocześnie korzystającej tylko w nieznacznej stosunkowo mierze z przywilejów, z jakich w warunkach totalizmu lub półtotalizmu korzysta totalna „elita". Stąd gniew. Stąd też endeckie uchwały o wstrzymaniu się od wyborów. Nie wiemy jeszcze, jak uchwały te będą wykonane. Sądzimy, że prawdopodobnie czołowe figury Stronnictwa do walki wyborczej nie staną. Ale nie zdziwilibyśmy się wcale, gdyby n. p. w okręgach, gdzie kandydować będą bojowi „narodowcy" sanacyjni lub pół-sanacyjni, endecy pospieszyli im z pomocą, powiększając w ten sposób ogólną liczbę głosujących. Nie dziwilibyśmy się również, gdyby do nowego Sejmu przeszła spora liczba jakichś nieznanych nikomu wielkości prowincjonalnych, która przy stosownej okazji wystąpiłaby jako przedstawicielstwo endecji. Różne cuda zdarzają się na świecie. Zaznaczmy, w każdym razie, że endecja nigdzie nie umotywowała swej abstynencji zasadniczymi zastrzeżeniami w stosunku do ordynacji wyborczej. Pp. Kowalscy i Bieleccy nie mieliby nic przeciwko tej ordynacji, gdyby tylko im pozwolono na jej podstawie kierować wyborami. Nawet żal na szczęśliwszych konkurentów nie skłania w chwili obecnej endecji do jakichkolwiek, choćby czysto werbalnych, oświadczeń, od których mogłoby zalatywać „demoliberalnym", a więc, oczywista, i „żydomasońskim" zapaszkiem. Stronnictwo Narodowe stawia na czysty totalizm, tylko — z p. Kowalskim na czele.

W innym sensie pod znakiem ordynacji stoją rozgrywki wewnątrz — sanacyjne. Tu wszystko obraca się dokoła pytania, kto kogo „wykończy". Nie chodzi, oczywista o opinię wyborców, których cały ten obóz liczy dziś już doprawdy niewielu, bodaj nawet znacznie mniej, niż przed trzema laty. Cała rozgrywka toczy się dokoła uzyskania wpływu na kolegia wyborcze, względnie na instancje, które decydować będą o ich składzie. Brukowce, zwłaszcza te „opozycyjno"-reżymowego typu, pełne są ech tych rozgrywek. Sławek, Kozłowski, Galinat, Prystor, Puziewicz, Miedziński. „Jutro Pracy", „A.B.C.", Ozon, konserwatyści, naprawa. Uderza niesłychanie niski poziom tych konfliktów, niezwykle wielka rola momentów klikowych, personalnych. Jeśli słowa „partyjnictwo" i „doktrynerstwo" mają oznaczać wszelką walkę o idee, o programy, o koncepcje, to płk. Sławkowi, doprawdy, udało się gruntownie wytrzebić wszelkie „partyjnictwo" i „doktrynerstwo" we własnym obozie, a jego następcy nie chcieli czy też nie potrafili tego „partyjnictwa" obudzić do nowego życia. W obozie sanacji nie mówi się o poglądach. Wystarczą ogólnikowe frazesy. Za to wszyscy myślą o mandacie, walczą o mandat, o władzę i przywileje. Przyznajemy, że jeśli idzie o nas, wolimy walkę o koncepcje, o idee, o władzę dla własnego, wyraźnego programu...

Zupełnie inaczej przedstawia się sytuacja w obozie demokracji. Próżno szukalibyśmy tu choćby śladów „gorączki wyborczej", kombinacji mandatowych, takich czy innych „gierek" wyborczych. Demokracja staje w obliczu wyborów bardziej zjednoczona i solidarna niż kiedykolwiek. Wyraziliśmy, w poprzednim zeszycie „Epoki", na pierwszą wiadomość o roz-

wiązaniu Izb Ustawodawczych, nasze głębokie przekonanie, że postanowienia władz naczelnych wielkich stronnictw demokratycznych zapadną w duchu solidarności całej demokracji polskiej, będą jedne dla wszystkich jej odłamów. Nie pomyliliśmy się. Oto mamy już za sobą jednozgodne decyzje Rad Naczelnych PPS i Stronnictwa Pracy oraz N.K.W. Stronnictwa Ludowego, po których nie ulega wątpliwości, że wielkie masowe ruchy demokratyczne pójdą razem, tak samo jak szły dotąd razem we wszystkich decydujących chwilach. Wszelkie próby dywersji spaliły na panewce. Zanotujmy fakt nowy, tym bardziej pozytywny, że dokonujący się na szczególnie dotąd wrażliwym odcinku: pewną poprawę stosunków między P. P. S. a Stronnictwem Pracy. Artykuł „Zwrotu", o którym piszemy osobno, zmieniony w ostatnich dniach ton „Nowej Rzeczpospolitej" wobec P.P.S., wszystko to świadczy, że ośrodki kierownicze Stronnictwa Pracy skłaniają się ku odgraniczeniu od szkodliwych i antydemokratycznych koncepcji „odcięcia ludowców od P. P. S.", że pogodziły się z faktem współpracy ruchu ludowego i ruchu socjalistycznego.

„Wobec tego, że ani ordynacja wyborcza nie uległa najmniejszej nawet zmianie, ani nie zmieniono ciał samorządowych, przy pomocy bezstronnych i rzetelnych wyborów — masy chłopskie, choćby nawet chciały, nie mają w obecnym stanie rzeczy możności wyrażania swej woli" — w tych słowach N. K. W. Stronnictwa Ludowego sprecyzowane jest rzeczywiste stanowisko nie tylko chłopów, nie tylko ruchu ludowego, ale całej demokracji polskiej. Bo cóż można innego powiedzieć, kiedy w Warszawie np. bairat p. Starzyńskiego razem z delegatami Izby Przemysłowo-Handlowej posiada absolutną większość w kolegium wyborczym i może sam decydować o tym, na kogo będą mogli, a na kogo nie będą mogli głosować robotnicy i pracownicy umysłowi Warszawy? Który szanujący się działacz demokracji polskiej, działacz któregokolwiek z jej ruchów masowych zechce przyjąć uznanie takiego grona sędziów?

Jeśli wybory sejmowe odbędą się bez „cudów nad urną" i innych, znanych z lat minionych akcesoriów, to, mimo wszystko, dadzą one pewien obraz realnej sytuacji w kraju. Pozwolą stwierdzić, jakie są rzeczywiste wpływy Ozonu. Pokażą raz jeszcze solidarność całego polskiego świata pracy, ruchu ludowego, ruchu socjalistycznego, ruchu pracowniczego, katolickiej demokracji z pod znaku Stronnictwa Pracy i demokratycznych elementów mniejszości narodowych.

R. E. WERNER.

Zachód mówi

Musimy odłożyć na bok przygotowane już zestawienie głosów prasy europejskiej o konflikcie czechosłowackim: stało się ono nieaktualne wobec ostatnich wydarzeń. Dajemy więc tylko dwa głosy, związane nie z tą czy inną fazą konfliktu, lecz z jego istotną treścią. Głos pierwszy, spokojnego, neutralnego, szwajcarskiego obserwatora, prawicowej *„Neue Zürcher Zeitung"*. Głos drugi, to głos umiarkowanej „Europe Nouvelle". pisma, jak wiadomo, zbliżonego do kół sztabu generalnego francuskiego. *Epoka.*

„Niemcy żądają prawa samostanowienia dla Sudetów, przyłączenia Sudetów do Niemiec. Ale takie rozwiązanie musi postawić na porządku dnia problem czeski w całej swej rozciągłości. Problem ten stanowił już wielokrotnie w historii ośrodek zaciekłych walk i niewątpliwie i teraz takie czy inne jego rozwiązanie musi mieć jaknapoważniejsze następstwa dla stosunku sił pomiędzy poszczególnymi mocarstwami europejskimi. Trudność problemu polega na tym, że Czechy są krajem narodowościowo mieszanym, ale geograficznie jednolitym. Mocarstwo, które, chociażby na podstawie prawa samostanowienia narodów przekroczy pasma górskie i usadowi się na zboczach tych pasm, w ten sposób panuje już potencjalnie nad całą kotliną czeską, tak że pozostałe „państwo kadłubowe" zdane jest na jego łaskę i niełaskę. Jeśli Niemcy, korzystając z prawa samostanowienia Niemców sudeckich, opanują kraj chebski, Czechy północne, Las Czeski i część Moraw, to niema więcej żadnej gwarancji prawa samostanowienia dla Czechów, niema mowy o tym, by mogli oni tego prawa bronić skutecznie, skoro kraj ten może być broniony tylko na linii otaczających go pasm górskich. Jeszcze poważniejszym, niż troska o prawo do samostanowienia Czechów, jest zagadnienie europejskiej równowagi sił. Dokonałoby się w niej niezmierne przesunięcie na korzyść Niemiec, gdyby Niemcy, opierając się na prawie samostanowienia Niemców sudeckich i uzyskanym w ten sposób terytorium, opanowały w całości zarówno politycznie, jak strategicznie i gospodarczo niesłychanie ważny przyczółek czeski. Tym tłumaczy się stanowisko dyplomacji włoskiej, która starała się nie dopuścić do rewizji terytorialnej i wysunęła ją dopiero w chwili ,gdy hasło to wysunął sam Hitler i gdy stanęło zagadnienie utrzymania osi Rzym-Berlin". *„Neue Zürcher Zeitung"*.

„Jeżeli ugoda w Berchtesgaden zostanie zawarta kosztem poświęcenia Czechosłowacji, jeśli p. Chamberlain, byle uniknąć zbrojnego konfliktu, zdecyduje się dać swemu rozmówcy swobodę ruchów w Europie Środkowej, z warunkiem, że będzie on przestrzegał pewnych form i korzystał z pewnych dróg postępowania, to wtedy nie mają powodu cieszyć się tą rozmową ci wszyscy, którzy uważają, że uzależnienie rządu praskiego i podział jego ziem muszą otworzyć drogę do nowej Mitteleuropy pangermańskiej, że triumf tego systemu musi doprowadzić Niemcy do hegemonii gospodarczej, politycznej i wojskowej w Europie, że, w stosunkowo krótkim czasie, Imperium Brytyjskie i Imperium Francuskie będą zmuszone do walki w warunkach o wiele gorszych niż obecnie. Czechosłowacja może wydawać się daleką i bez powiązania ścisłego z naszymi interesami życiowymi. W rzeczywistości, w warunkach chwili obecnej stanowi ona bastion mocarstw zachodnich. Po jej klęsce, i one będą bardziej narażone na uderzenia i mniej silne. Foreign Office wie o tym równie dobrze jak Quai d'Orsay". *„l'Europe Nouvelle".*

Deklaracja biskupów w Fuldzie

Episkopat niemiecki, który, jak wiadomo, obradował przed kilku tygodniami w Fuldzie, ogłosił list pasterski do wiernych, piętnujący postawę nazistów wobec katolicyzmu. List ten nie był wprawdzie ogłoszony w „zglajchszaltowanej" prasie niemieckiej, ale za to odczytany został we wszystkich kościołach Rzeszy, z wyjątkiem kościołów na ziemiach dawnej Austrii. Gestapo próbowała wprawdzie i tutaj, przeprowadzając gruntowne rewizje na probostwach, przeszkodzić opublikowaniu listu, ale bezskutecznie, a nawet ze skutkiem wręcz odwrotnym, gdyż gorączkowe poszukiwania listu uwydatniły tylko znaczenie deklaracji episkopatu.

Reakcyjna prasa polska, mieniąca się katolicką, ze znamienną rezerwą przyjęła tę doniosłą deklarację biskupów niemieckich i zbyła ją krótkimi, nic nie znaczącymi wzmiankami. Świadczy to wymownie, jak mało te hitlerofilskie organy mają prawa do powoływania się na swój katolicyzm. Dziwną więc rzeczy koleją, pozostaje nam, pismu zasadniczo laickiemu, zaznajomić Czytelnika polskiego z najbardziej charakterystycznymi ustępami tego niezwykle ważnego dokumentu. Zaczerpnęliśmy te fragmenty z pełnego tekstu deklaracji episkopatu, zamieszczonej w organie katolików niemieckich w Polsce, „Der Deutsche in Polen".

„EPOKA".

„My, niemieccy biskupi katoliccy, musimy stwierdzić, że ataki nie osłabły, nie stały się bardziej znośne, a, przeciwnie, stały się jeszcze bardziej wrogie i gwałtowne, że cel ich stał się jeszcze jaśniejszy niż dotąd".

„Chodzi w nich o zahamowanie i osłabienie życia katolickiego, co więcej: o zniszczenie kościoła katolickiego w naszym narodzie, a nawet o wytępienie chrześcijaństwa w ogóle i wprowadzenie wiary, która nie ma nic wspólnego z prawdziwą wiarą w Boga".

„Tysiące katolików niemieckich stawia sobie palące pytanie, czy nie są oni, mimo ich przynależności do wspólnoty narodowej i ich wierności dla państwa, pozbawieni praw, które posiadają inni ich rodacy, czy nie zasługują oni, kiedy im się stawia jakiś zarzut, ani na wysłuchanie, ani na wiarę, ani na obronę, ani na usprawiedliwienie".

„Z głębokim żalem byliśmy świadkami jak w szczególnie dotkliwy sposób naruszano honor osobisty Ojca Świętego. My, biskupi i katolicy niemieccy, podzielamy oburzenie całego świata katolickiego wobec tego faktu".

„W pewnych kołach dąży się obecnie, z całym naciskiem i coraz natarczywiej do zupełnego zniszczenia wiary katolickiej w Niemczech".

„Niech nikt nam nie próbuje zarzucić, że jest to nieusprawiedliwiona niczym obawa, albo zarzut oszczerczy, wyrastający z wrogiego narodowi światopoglądu. Autorytatywne osobistości oświadczały, w sposób jaknajbardziej wyraźny i publiczny, że upadek katolicyzmu niemieckiego jest celem ich dążeń".

„W granicach Niemiec wywołuje się i popiera ruch za występowaniem z Kościoła, grozi się, a nieraz wyrządza szkody materialne wiernym katolikom, robotnikom, pracownikom umysłowym i studentom".

„My biskupi niemieccy wielokrotnie i w niedwuznaczny sposób deklarowaliśmy swą wierność dla narodu i państwa, również w jego nowym ustroju. Spełnialiśmy wiernie nasze obowiązki obywatelskie. Ale oświadczamy szczerze, że, w miarę rozwoju ruchu światopoglądowego staje się coraz jaśniejszym, że nawet koła kierownicze nie chcą rzeczywistego i stałego porozumienia z Kościołem katolickim. Albo zasadnicze różnice z góry już uniemożliwiały zbliżenie, albo też rozwój stosunków sprawił, że górę wziął kierunek, który dąży do zagłady Kościoła, nie zaś do pokoju z Kościołem, lub chociażby do znośnego istnienia obok siebie Kościoła i Państwa".

„Wielokrotne oświadczenia wykazały również, że chodzi nie tylko o walkę przeciw Kościołowi, ale o walkę przeciw chrześcijaństwu jako takiemu. Odrzucenie Starego Testamentu leży na tej linii. Określono chrześcijaństwo jako starczą, zwapniałą pozostałość przezwyciężonego okresu dziejów, jako coś bezwartościowego i bezsilnego w chwili obecnej".

„Ponadto zwolennicy teorii krwi i rasy twierdzili, że osoba i życie Jezusa Chrystusa są sprzeczne z istotą niemieckości, że główne twierdzenia głoszonej przezeń wiary są, pochodzącym z Przedniej Azji, zabobonem, narzuconym plemionom germańskim przez podstępny napad".

„Nie walczymy przeciwko narodowi i państwu, lecz właśnie za naród i za państwo przeciwko tym, których z odwagą, jaka przystoi naszemu apostolskiemu charakterowi, musimy określić jako wrogów naszego narodu. Będzie się nas za to lżyć. Ale istnieje sprawiedliwość, której żadne głośne hasła nie zagłuszą i żadna samowola nie zwycięży".

Demokracja polska zawsze walczyła i walczy obecnie o przyszłość Polski

Józef Nowicki

W dniu 31.VIII 1938 r. odszedł jeszcze jeden z tych, którzy kładli cegiełki pod budowę niepodległej Polski.

Józef Nowicki, „Pluskwa", „Facecik" i popularnie zwany przez przyjaciół Józik, miał bogatą przeszłość, bogatą w przeżycia, które groziły mu Sybirem, lub wygnaniem, a których by nie oddał za żadne skarby świata i nie zamienił się z nikim. Ukochał niebezpieczeństwo i ryzyko. W swoich „Wspomnieniach starego działacza" pisze on tak: „Piszę nie dla nekrologu. Chciałbym, aby nieznany, wrażliwy młodzieniec, przeczytawszy, zrozumiał, ile piękna, szczęścia i radości daje w życiu bezinteresowna skromna praca dla wielkiej idei. Byłem tylko wiernym żołnierzem w polskim ruchu rewolucyjnym. Byłem zawsze pogodny, wesoły, pełen radości życia w najcięższych jego momentach. Egoizm, uczucia rodzinne były dla mnie obce. Szczerze i bez zdrad kochałem robotnika, jego walkę o niepodległość i socjalizm. Tęsknota do tej nieznanej, a silnie wyczuwanej rewolucji była moją podświadomą jaźnią. Jeżelibym chciał jeszcze żyć, to tylko, aby zginąć w rewolucji w tej „Ostatniej Walce"...

Już w roku 1894, będąc w 6-tej klasie szkoły realnej w Kijowie, przejął się ruchem socjalistycznym. Wraz z kolegami zakłada pierwsze kółko nielegalne, „Polską korporację uczniowską". Przez kółko przechodziła cała młodzież postępowa polska. Powoli studenci zaczęli wciągać ich do swej roboty. Wielkim występem była demonstracja studencka w związku z tragiczną śmiercią studentki Wietrowej; naturalnie że i Nowicki wraz z towarzyszami postanowił wziąć udział w pochodzie.

Po maturze wyjechał Nowicki do Lwowa i zapisał się na politechnikę. Upojony był wprost wolnością panującą w Galicji. Pochody niezatrzymywane, z śpiewem „Czerwonego Sztandaru" wzruszyły go do łez. Zetknął się tam z socjalistami i zaraz zapisał się na członka „Siły" i „Proletariatu". Traktował swoją pracę jako „praktykę". Później zapisał się do „Promienia" i zaczął na wielką skalę organizować przemyt bibuły na Ukrainę, przeważnie do Kijowa. W Kijowie była zorganizowana paczka przyjaciół, która już dalej roznosiła bibułę. Do paczki tej należała jego siostra, Asia Nowicka i Maria Łakińska, późniejsza żona Nowickiego. W związku z pracą polityczną kilkakrotnie przyjeżdżał do Kijowa.



JÓZEF NOWICKI
bojownik socjalizmu i niepodległości.

W styczniu 1900 r. zdarzył się wypadek, który zaważył na całym jego życiu. Wezwany do Jodki Narkiewicza Nowicki poznał tam „faceta" z kraju. Facet miał dziwny wygląd, można go było posądzać o przynależność do różnych gatunków rodzaju ludzkiego. Nowicki siedząc z nim sam na sam nie czuł się w sosie, a facet, był nim „Czarny Michał" (Sulkiewicz), zaproponował mu wyjazd do kraju na „robotę". Kazał Nowickiemu tegoż dnia wyjeżdżać do Kijowa, Nowicki zdawał właśnie egzamin państwowy i chciał odłożyć trochę wyjazd, lecz „facet" spojrzał dziwnie na niego i tylko zapytał: czy koniecznie chce wisieć jako inżynier. Więcej argumentów nie trzeba było i Nowicki pojechał.

W lipcu zjawił się „Michał" i po sprawdzeniu, że Nowicki jest „czysty", odrazu przystąpił do sprawy: na komorze celnej w Wierzbołowie wakowało miejsce urzędnika kancelaryjnego. Nowicki napisał podanie do „Jewo Prewoschoditielstwa" prosząc uprzejmie o pracę i zaznaczając, że jest prawosławnym. Rzeczywiście był nim, ponieważ pochodził z rodziny unickiej. Tegoż miesiąca nadeszła przychylna odpowiedź i Nowicki pojechał do Wierzbołowa, ożeniwszy się przed tym.

Będąc na służbie cara i biorąc carskie pieniądze, Nowicki służył z całych sił PPS. Przemyt odchodził na wielką skalę. Na tej placówce miał przeróżne przeżycia. Do niego należało spisywanie protokułów przyłapanych na jakimkolwiek przemycie. Nowicki zawsze się bał, że będzie nieraz przy badaniu „facetów" z transportem bibuły. Raz miał tylko tę przykrość. Władze zachwycały się i podziwiały, jak Nowicki nadzwyczajnie prędko segregował nie legalną literaturę. Do Wierzbołowa zjeżdżali się po bibułę Prystor, Prauss, Rożen, Rutkiewicz, Sławek i wielu innych. Przyjeżdżali zawsze jako figury urzędowe. Często odwiedzał granicę wierzbołowską Ziuk i przemycał się na drugą stronę przez rzekę, niby kąpiąc się.

Praca ta miała nieraz i komiczne momenty: pewnego razu przyjechała po bibułę nowicjuszka, trzeba ją było odstawić do Wilna. Nowicki pojechał z nią, w drodze wypadło nocować w hotelu. Naturalnie Nowicki zameldował się z żoną. Jakież było przerażenie młodej damy, gdy kazał jej położyć się spać: „Co, gdzie, jak", krzyknęła. „Tu, w pokoju, na łóżku", odpowiedział spokojnie Nowicki: „ja się odwrócę, pani rozbierze się, a potem pani odwróci się, a ja się

rozbiorę". Długa chwila minęła zanim zrozumiała, że innego wyjścia niema i że Nowicki nie ma względem niej wrogich zamiarów. Nazajutrz trzeba było jechać końmi dwie godziny do stacji kolejowej. Damie po drodze robiło się niedobrze, a że była obładowana bibułą jak dromader, Nowicki przeżył chwile prawdziwego strachu, że może nastąpić wsypa i to z tak błahego powodu.

Trwało to do roku 1903. Dn. 5 lipca wsypał się najbliższy pracownik Nowickiego, nieżyjący już Piasecki. Wyjechał on z bibułą. Zwykle do północy czekali Nowiccy, czy wszystko jest w porządku i tym razem już zasypiali, gdy obudził ich tętent koni. Zerwali się z łóżek i gwałtownie zaczęli palić kompromitujące papiery. Wiedzieli, że to jest koniec „granicy". Weszli znajomi oficerowie i Nowicki odrazu przyznał się, że to on kazał Piaseckiemu wywozić bibułę, brał całą odpowiedzialność na siebie. Stoły, szafy, łóżka pełne bibuły, na wóz trudno było zabrać. Na ścianie wisiały spodnie generalskie, używane przez „Barnabę" — Rożena w wypadkach bardziej niebezpiecznych. Nowickiego zaaresztowano i wywieziono, Nowicka przeszła granicę i nadała depeszę do PPS: „okno na świat zamknięte". Naturalnie żaden transport bibuły nie nadszedł więcej do Wierzbołowa.

Więzienie w Kalwarii było tym gościnnym domem, w którym osadzono Nowickiego. Naogół obchodzono się dobrze z więźniami politycznymi, a Nowickiemu wręcz dobrze się powodziło, o ile w ogóle może się dobrze powodzić w więzieniu. Stale zgłaszał pretensje: to mu księżyc przeszkadzał spać, gdy więc była noc jasna, zasłaniano mu okno kocem, to skarżył się na wilgoć, na zimno i na to, że ciągnie od podłogi, wyścielono mu więc kocami, by nie marzł, 3 razy dziennie dostawał samowar do celi, spiżarnię miał świetnie zaopatrzoną, aż prokurator był zachwycony gospodarnością więźnia. Naczelnik więzienia, Sławiński, często skarżył się, że mu Nowicki robi przykrości, nieraz mówił, że on gotów sam przenieść się do celi, a Nowickiemu odstąpić swoje mieszkanie, może wtedy będzie zadowolony. Gdy Nowicki opuszczał więzienie i krzyknął mu wieloznaczące „dowidzenia", stary się przeraził: „Co ja panu złego zrobiłem, po co pan mnie straszy". Nowicka robiła starania o wypuszczenie męża z więzienia, co jej się wreszcie udało za kaucją 1000 rb. z tym, że Nowicki do wyroku pójdzie na prowizoryczne wygnanie do Nikolskiej Słobodki nad Dnieprem.

Naturalnie Nowicki zbiegł w krótkim czasie do Lwowa, gdzie spotkał się z żoną. Zaraz zabrał się do roboty; tym razem interesował go przemyt broni i na tym przemycie wpadł. Zaaresztowany, znowu siedział w więzieniu, martwiąc się, że na długo przerywa studia. Tam uczył się i nawet zbierał podpisy u profesorów, którzy byli bardzo wrażliwi na tego rodzaju przejścia. Skazano go na wysiedlenie z Galicji. Odstawiono Nowickiego wraz z rodziną na Węgry i tam, aby móc uzyskać możność powrotu do Galicji dał się zaadoptować jakiemuś Węgrowi, któremu naturalnie dobrze zapłacono za to. Jako Węgier przyjechał do Krakowa, gdzie zostawił rodzinę, a sam pojechał do kraju na nielegalną robotę.

W Warszawie wziął się do pracy pirotechnicznej, naturalnie i tu skończyło się wsypą. Nowickiego skazano na więzienie i wygnanie.

Wyjechali Nowiccy do Belgii, było im tam bardzo ciężko. Nowicki pracował jako prosty robotnik w bardzo trudnych warunkach, ale jego żywotna natura nie pozwoliła mu na załamanie się, humor jak zawsze mu dopisywał. Na kilka lat przed wojną, po długich staraniach powrócili do Galicji i Nowicki pracował jako inżynier w Borysławiu. Zaczęła się już inna robota: tworzenie Związku Strzeleckiego. Komendantem na cały okręg był Bobrowski, a głównym mówcą i agitatorem Nowicki. Mówił świetnie i dowcipnie, nieraz zdarzały się ostre utarczki słowne z przeciwnikami politycznymi, ale zawsze Nowicki był górą.

Wojna, Legiony. Naturalnie Borysław szykuje kompanię, na której czele stoi Bobrowski, a której skarbnikiem jest Nowicki. Nazywali go pułkownikiem, bo w austriackim wojsku skarbnik był w tej randze. Zanim dojechał do Krakowa, Nowicki był już sierżantem, ale sierżantem I Brygady, to nie było byle co. Przetrwał całą kampanię legionową, aż do rozwiązania Legionów.

Po wojnie 1920 r., w której brał udział z całą swoją rodziną, Józef Nowicki przenosi się do Warszawy i następnie osiada na stałe w Milanówku. Więzienia i trudy wojenne podkopały jego zdrowie. Ale mimo to pracował niemal do ostatniej chwili swego życia i utrzymywał zażyłe stosunki z swoimi dawnymi przyjaciółki i towarzyszami partyjnymi. Umarł z uśmiechem na ustach, umarł tak, jak żył: wesoły i uśmiechnięty.

Przez całe życie był pogodny, w najcięższych nawet chwilach, i chciał pogodne zostawić o sobie wspomnienie.

Mam wrażenie, że wszyscy co go znali, myśląc o nim, muszą się uśmiechać, a to jest najmilsze wspomnienie o kimś, kogo już ciałem niema między nami.

DR WANDA MECHÓWNA.

Stanisława Jarocińska-Malinowska



Z grona współpracowników „Epoki“ ubyła nagle Stanisława Jarocińska-Malinowska: zmarła na udar serca. Serce to, promieniujące blaskami dobra, a wciąż dławione smutkiem czasów dzisiejszych — nie wytrzymało naporu bolesnych przeżyć.

Stanisława Jarocińska (urodzona w majątku Olszak pod Pułtuskiem w marcu 1881 r.) należała do tego pokolenia, które dojrzewało w czasie najsroższego ucisku życia polskiego i największego nasilenia rusyfikacji. Był to również czas, kiedy obudziło się mocne dążenie kobiet do wyższego wykształcenia i emancypacji. Mając zamknięty dostęp do uczelni akademickich w kraju, młodzież żeńska, przezwyciężając najróżniejsze trudności i zapory, ciągnęła na zachód.

Wiedziona żądzą wiedzy i emancypacji, Stanisława Jarocińska znalazła się w Genewie, zapisawszy się na tamtejszy uniwersytet, a następnie po ukończeniu romanistyki, udała się dla uzupełnienia studiów do Sorbony paryskiej, sposobiąc się do zawodu nauczycielskiego. Powróciwszy do kraju nauczała w prywatnych szkołach żeńskich, później w państwowych gimnazjach polskich, a jednocześnie, idąc za głosem powołania, oddawała się pracy pisarskiej, głównie w zakresie krytyki literackiej.

Skupiona i myśląca, rozsiewała doborowe ziarna swej rozległej wiedzy i budziła entuzjazm dla pełnej, niefałszowanej oświaty, mając świadomość, że szczytną przyszłość i potęgę Polski opierać trzeba nie na zgiętym karku skopanego bliźniego, lecz na wolnym człowieku pracy i obywatelu.

Będąc ideowo związana z „Epoką“, pani Stanisława silnie pragnęła jej rozwoju. Nawet z odległości, gdy wypadło Jej być po za Warszawą, w listach troszczyła się o losy pisma. Ostatnie słowa, pisane do redaktora, zawierają również ten motyw: „Życzę Panu dużo sił i jeszcze więcej cierpliwości. Ludzie czytają „Epokę“ i zawsze coś z tego w nich zostaje“.

Wszystko, co napisała Stanisława Jarocińska-Malinowska wyróżniało się i uderzało naturalnością i prostotą, oraz jasnością myśli i słowa. O Jej umysłowej kulturze i zmyśle krytycznym Czytelnik może się raz jeszcze przekonać, wczytawszy się w ostatnią przed śmiercią napisaną dla „Epoki“, poniżej umieszczoną, recenzję o powieści Herminii Naglerowej.

Im wyżej postępowała Stanisława Jarocińska w swoim duchowym istnieniu, tym więcej, mówiąc słowami myśliciela, brała dobrowolnie na siebie część ogólnego cierpienia i wysiłku. Pod tym olbrzymim dzisiaj ciężarem zeszła przedwcześnie do grobu, zostawiając za sobą długą smugę żalu i bolesnego smutku.

EPOKA

Herminia Naglerowa:

„Krauzowie i inni“

Powieść w 3 tomach. Wyd. J. Mortkowicza

Odkąd poznałam „Krauzów i innych“ Herminii Naglerowej, wracam często do tej książki i za każdym razem odkrywam w niej nowe, cenne wartości; za każdym razem doznaję w zetknięciu z nią nowych przeżyć i wrażeń!

Te reakcje, prawie podświadome, człowieka obytego z utworami literackimi różnego kroju i autoramentu same już świadczą dosadnie o bogactwie i ważkości powieści, o jej wielopłaszczyznowej sugestywności.

Swojej siły atrakcyjnej powieść nie zawdzięcza bynajmniej zewnętrznej efektowności tła historycznego lub środowiska ludzkiego, w jakim się rozwija. Wybrana za tło przez autorkę epoka popowstaniowa (lata 1865—67), jest raczej szara, niepozorna, tak samo jak niepozorni, mało ciekawi wydać się mogą na pierwszy rzut oka bohaterowie powieści, mieszkańcy galicyjskiego pogranicznego miasteczka, oznaczonego przejrzystą nazwą Borów.

Ale tylko na pierwszy rzut oka, bo po rozejrzeniu się w tym mikrokosmosie zaczynamy interesować się jego składnikami, wnikać w życie tych mieszczan zamożniejszych, wśród których na pierwszy plan wysuwa się rodzina Krauzów, tych ubogich handlarzy Żydów, tych c. k. urzędników, tych podupadłych rzemieślników i wszelkiej fauny ludzkiej, gnieżdżącej się w piętrowych kamieniczkach rynku lub w krzywych domkach uliczek i zaułków borskich.

Życie tych ludzi, niezwiązanych bezpośrednio z żadnymi ważniejszymi sprawami świata, ma jednak swoją odrębną wymowę, swój osobliwy patos. Autorka wyposaża bowiem swoich bohaterów w dużą intensywność uczuć, reakcji i impulsów psychicznych, które przedostają się na zewnątrz w postaci czynów, słów i gestów, znakomicie charakteryzujących treść uczuciową, umysłowość, temperament i stopień kultury każdego osobnika.

Zróżnicowaniu poszczególnych postaci tej obszernej powieści odpowiada liczebność i rozmaitość

spraw składających się na ich życie osobiste i rodzinne, które znowu w różny sposób splata się z życiem miasta i kraju.

Autorka umiała tutaj pokazać w sposób niezmiernie przekonywujący, jak ściśle działalność gatunku homo politicus uzależniona jest od pasji i interesów człowieka prywatnego.

W przeprowadzeniu wątków narracyjnych zaznacza się bardzo silnie u Naglerowej umiejętność splatania ich i rozplatania, podejmowania ich i zostawiania na uboczu, by znów do nich wrócić w odpowiedniej chwili.

Kompozycja tej powieści przypomina kompozycję symfonii muzycznej. Prawa kontrapunktu i harmonii, którym podlega orkiestra tematów, zdają się u pisarki czymś tak koniecznym i naturalnym, jak samo życie. I tak samo jak w życiu otwierają się tutaj perspektywy na jakieś sprawy i wydarzenia nieznane, niedomówione, jednak istotne i ważne dla danych jednostek. Idzie się przez tę książkę z uczuciem, że na każdej nieledwie jej stronie spotkamy się z jakąś prawdą o życiu i o człowieku, prawdą, czasem może nawet już nam znaną, ale oryginalnie oświetloną i podaną w wysoce zajmujący sposób.

„Krauzowie i inni" obnażają i ukazują dogłębnie istotę stosunku jednego człowieka do drugiego. Nieraz drobne i pozbawione znaczenia zewnętrznego fakty i przeżycia rozładowują gromadzącą się w pewnych punktach psychiki energię, powodując krótkie spięcia, wybuchy, mikroskopijne katastrofy. Poczem wszystko wraca do równowagi, — niestałej — by się rozpocząć, niby znowu tak samo, a jednak inaczej.

Pełen takich momentów jest stosunek Ernestyny i Stanisława Krauzów. Zarówno treść zachodzącego miedzy nimi konfliktu małżeńskiego, jak i opisy jego faz poszczególnych, słowa, gesty i rozważania, jakie się nasuwają obojgu osobnikom, wszystko to jest czymś po raz pierwszy spotykanym u bohaterów naszej literatury powieściowej.

Subtelność analizy psychologicznej autorka doprowadza w swej powieści do takich wyżyn, że się wprost nie wyczuwa jej interwencji; dopiero skupiona uwaga budzi w nas podziw dla tej mistrzowskiej „roboty".

Ze swoich psychologicznych wypraw głębinowych autorka wraca z pełnymi rękami, ale częściej aniżeli perły wyławia z dna duszy ludzkiej różne dziwy, a czasami nawet monstra. Musimy jednak przyznać, jeśli nie chodzimy po świecie z zamkniętymi oczami, prześlizgując się tylko po powierzchni faktów i zdarzeń, że to, czego się dowiadujemy o człowieku w „Krauzach", jest tylko prawdą, nie zaś oszczerstwem.

Prawdę tę, na którą składa się wiedza o drapieżnych instynktach człowieka, o jego samolubstwie, różnych pasjach i słabościach, ale także o pragnieniach i czynach szlachetniejszej natury, autorka podaje ze spokojem, obiektywnie, bez ironii czy politowania. Nie ma w sobie nic z karcicielki i przewodniczki, nie przemawia „z wysokiego stanowiska". I to także jest jednym z wielu uroków jej niepowszedniej książki.

Procesy psychiczne zachodzące w duszach bohaterów autorka umie zindywidualizować, nadać każdemu ich uczuciu odpowiednią barwę i tonację. Jakże odmiennie, naprzykład, wygląda w „Krauzach" miłość w zależności od tego, kto ją odczuwa. Wybucha ona jak groźny pożar w sercu młodziutkiej Emilki Krauzówny; wydaje się na rozkosz poniewierki u Duwydla Wolfsohna; uporczywie zmartwychwstaje mimo nagromadzonych przez długie lata popiołów w duszy Stanisława Krauzego; waruje jak pies, pełza w cieniu i tłumi szlochanie w piersi Żanety; odbiera dumę kobiecą i mąci rozum Geni Nahlikowej; jątrzy się jak bolesna zadra na dnie wszystkich uczuć, poczynań i odruchów chłodnej Ernestyny Krauzowej, póki się nie wyrazi w ostatnim, przedśmiertnym, szerokim rozwarciu przez nią ramion zbliżającemu się mężowi.

W podobnie wyrazisty, intensywny, żywiołowy sposób lub też kręto i jak gdyby niechętnie wypowiadają się w powieści Naglerowej inne uczucia ludzkie. Świetna jest np. charakterystyka ambicji Stanisława Krauzego, uczuć patriotycznych Józefa Krauzego i jego przyjaciela Ładnowskiego; zawistnych odruchów, jakim ulega Teobald Krauze. Uczucia te wypowiadają się wielorako, a więc bezpośrednio w mowie lub czynach, zaś pośrednio w geście, postawie ciała, spojrzeniu, a zawsze jakoś trafnie i celowo w stosunku do zamierzonego efektu.

Czytelnik rozsmakowany w psychologizmie powieściowym znajdzie więc dla siebie w powieści Naglerowej prawdziwą ucztę.

Zrozumienie nasze i zainteresowanie rozciąga się również na historię tych ludzi, z których każdy, doskonale wkomponowany w tło powieści, zajmuje w określonym punkcie, czasie i przestrzeni określone stanowisko, dąży do osiągnięcia pewnych celów właściwymi sobie metodami.

Dużo akcentów obyczajowych i walorów plastycznych wnoszą do powieści zakrojone na epicką skalę obrazy życia zbiorowego i towarzyskiego. Do takich należą, między innymi, targ na rynku borskim, świetny pod względem malarskim i kipiący ruchem; posiedzenie Komitetu Głodowego, bal na zamku u burgrabiego, wesele Emilki, majówka, pożar miasta, wybory burmistrza i wiele innych.

Poza znaczeniem czysto dekoracyjnym te sceny mają znaczenie społeczne. Charakteryzują dane środowisko i epokę, dając ich wizję artystyczną, stwarzając złudzenie rzeczywistości. Wrażenie to autorka osiąga dzięki swojej wyobraźni twórczej i dzięki głębokiej znajomości czasów, które przedstawia. Nigdy jednak sprawy związane z ustrojem państwa, stanem gospodarczym kraju, jego stosunkami ludnościowymi nie narzucają się czytelnikowi w swojej nagiej postaci, same dla siebie. Cała armatura polityczna i społeczna ówczesnej Galicji, wszystkie nurtujące ją prądy ideologiczne, od skrajnego szwarcgelberstwa po nieśmiałe, ale żywotne nastroje i dążenia niepodległościowe, wyłaniają się ze splotu interesów i działań poszczególnych jednostek, przybierając konkretne formy w ich wystąpieniach, wiążą się ściśle z ich życiem.

Trudno bardzo jest wyśledzić, jakimi środkami autorka operuje, ażeby osiągnąć tę pełnię, to wielkie bogactwo życia, mieszczące się w ramach jej powieści. Można jednak uprzytomnić sobie, że przyczynia się do tego rozmaitość punktów widzenia działających jednostek i odmienność ich reakcji. Stwierdzenie jednak pewnego osiągnięcia nie jest jego wyjaś-

nieniem, musimy więc zadowolnić się tutaj wysunięciem takich czynników jak: wybitny talent, wyjątkowe wyczucie, wysokiej klasy inteligencja i zaznaczyć pokrewieństwo autorki z Proustem w przeprowadzaniu wątków fabularnych i traktowaniu komentarzy psychologicznych, w ostrej obserwacji narastania wydarzeń i powstawania zmian, które znamionują upływanie czasu.

Język powieści jest prosty, jasny, nie zwracający na siebie uwagi czytelnika. Ściśle odzwierciadla kontur myśli, barwę uczucia; uczciwie oddaje zauważone zjawisko. Oszczędnie posługuje się metaforą, nieco chętniej trafnym a niebanalnym porównaniem.

Nie grzesząc liryczną rozlewnością, daleki jest także od oschłości, a w odpowiednich chwilach, kiedy autorka maluje pewne obrazy z życia przyrody lub pewne stany emocjonalne, język ten nabiera żaru i barwy, nabrzmiewa pierwiastkami muzycznymi.

Ciekawą stronę języka „Krauzów i innych" stanowią dialogi. Jest ich stosunkowo niewiele i czasem bywają przytaczane jako „oratio obliqua", zawsze jednak wskazując na stopień kultury, przynależność narodowościową i chwilowe usposobienie rozmówców. Autorka nie cofa się przed włożeniem w ich usta zwrotów i wyrażeń prowincjonalnych, rutenizmów i judaizmów. Jednakże tymi efektami operuje w sposób oględny, wystrzegając się przejaskrawiania i łatwizn taniego regionalizmu.

O „Krauzach i innych" powiedzieć można słusznie to, co się zwykle mówi o Paryżu: że każdy tam znajdzie coś, co mu się napewno spodoba. A jest dużo osób (sama też do nich należę), którym w tej powieści podoba się — wszystko.

Dla tych w szczególności mam wiadomość, że „Krauzowie" są pierwszą częścią cyklu: „Kariery", którego ciąg dalszy niedługo poznamy.

Ale już i to, co nam autorka ofiarowała dotąd, stanowi jedną z najwybitniejszych pozycyj w budżecie polskiej beletrystyki współczesnej.

STANISŁAWA JAROCIŃSKA-MALINOWSKA.

Z DNIA NA DZIEŃ

„CZAS" SIĘ DENERWUJE

Organ pp. Hrabyka i Piestrzyńskiego rzucił. się na „fałszywych demokratów i pacyfistów", którzy nie chcą uznać prawa kanclerza Rzeszy do dyktowania swej woli światu cywilizowanemu i dlatego— rzecz oczywista — szczują do wojny, nieuniknionej podobno w razie niewypełnienia tej woli.

Skorzystał z tej diatryby p. Hrabyka stary „Czas", by raz jeszcze zaoferować swą współpracę, przynajmniej w tej dziedzinie i przy sposobności, kto wie, zasłużyć na parę mandatów. Grozi więc palcem demokratom, „którzy nie uznają prawa do samostanowienia".

Czcigodny organ dawnych stańczyków i trójzaborowego lojalizmu zapomniał, że jego własna przeszłość, to jedno wielkie zaprzeczenie prawa do samostanowienia narodu... polskiego. Bo chyba deklarację „Przy Tobie, najjaśniejszy Panie, stoimy i stać chcemy" trudno nazwać wykonywaniem prawa samostanowienia. Dziwne więc, że ten, który sam nigdy nie odczuwał braku prawa samostanowienia **własnego** narodu, nagle odczuwa tak boleśnie i dotkliwie brak tego prawa dla p. Henleina... Należałoby i ten paradoks wyjaśnić w zapowiedzianym, słynnym już, niemieckim numerze specjalnym „Czasu".

PROSTO Z MOSTU O HITLEROWCACH... WĘGIERSKICH

P. Karol Stefan Frycz, jeden z czołowych publicystów obozu „narodowego" zwiedził ostatnio Węgry i daje obecnie, w „Prosto z Mostu", sprawozdanie z tego, co widział. Najbardziej interesujące są uwagi p. Frycza ,bojowego „narodowca" i antysemity o ruchu hitlerowskim na Węgrzech.

„Cała bieda w tym ,że antysemityzm węgierski wychodzi na pożytek Niemcom, których postępy w tym kraju są wprost zastraszające... Niemcy kroczą nad Dunaj siedmiomilowymi butami i każdy rok znaczą jakimś swoim sukcesem. Pisałem, że na Węgrzech nie ma ruchu narodowego — jest to o tyle niesłuszne, że jest jeden, będący właściwie **ekspozyturą Berlina** i którego ewentualne, a rzeczywiście możliwe zwycięstwo, może mieć katastrofalne skutki dla środkowej Europy... **Nawet nazwy nie mają oryginalnej i własnej...** ruch bezkrytyczny, demagogiczny i krótkowzroczny. **W polityce zagranicznej ślepo trzyma się Niemiec ,od których pono grube sumy dostaje. Ideologię swoją poprostu z Niemiec sprowadza** i do warunków węgierskich tylko z gruba dopasowuje, ale nawet bez wielkiej troski o ścisłe dopasowanie. Stwarza to sytuację istnego **duchowego wasalstwa,** tym groźniejszego, że towarzyszy mu i **wasalstwo gospodarcze.** Narodowcy ci, gdy dojdą do władzy, możliwe, że przesuną węgierskie granice znowu pod Karpaty, ale z kraju swego zrobią to czym nigdy nie był — **automatyczną cząstkę Rzeszy".**

Nie chcemy zastanawiać się tu nad przyczynami, które właśnie na węgierskim terenie uczyniły p. Frycza tak spostrzegawczym. Być może, że niemałą rolę odegrał tu fakt, że p. Frycz jest, m. i. monarchistą, zwolennikiem „rasy szlacheckiej", czyli, mówiąc poprostu, utrzymania ziemiaństwa przy pełni władzy, a hitleryzm na Węgrzech, w swej demagogicznej kampanii, kokietuje chłopów jakąś „radykalną" polityką rolną. Nadanie węgierskich cech hitleryzmowi sprowadzałoby się, prawdopodobnie, u p. Frycza do prymatu „grafów" w ruchu hitlerowskim. Ale mniejsza o to.

Któż bowiem może zaprzeczyć, że obserwacje p. Frycza są głęboko słuszne. Że, co więcej, dotyczą one nie tylko hitleryzmu węgierskiego, ale także tych wszystkich innych hitleryzmów, które wyrosły w ciągu ostatnich lat pięciu na ziemiach Europy Środkowej i Południowej? Szczegóły mogą być nieco inne, powiązania jeszcze prostsze lub bardziej skomplikowane, ale treść wszędzie jest niewątpliwie ta sama.

Istnieje stara gadka łacińska: de te fabula narratur. Innych nazywają po imieniu, ale ciebie mają na myśli. Te słowa rzymskiego poety przypomnieliśmy sobie przeczytawszy wywody p. Frycza na szpaltach „Prosto z Mostu".

PALĄCA SPRAWA

„Kurier Warszawski" przypomina, że mimo najuroczystszych deklaracyj położenie ludności polskiej w Niemczech nie uległo dotąd najmniejszej zmianie na lepsze:

„Otóż ludność polska, zamieszkała dziś na pograniczu w Rzeszy Niemieckiej, od Górnego Śląska, poprzez pas przyległy do Wielkopolski i do Pomorza, aż do Prus Wschodnich, w liczbie ponad 1 milion dusz, jest prastarą ludnością, osiadłą tam od zarania dziejów, znacznie dawniej niż Niemcy w Sudetach. Nie mieści się to więc w zdrowych pojęciach, dlaczego Trzecia Rzesza, tak stanowcza w żądaniach narodowych dla Niemców w Sudetach, jednocześnie Polaków u siebie, na pograniczu, ludność odwiecznie tubylczą, bezwzględnie wynaradawia. Po wszystkich, dokładnie już oświetlonych i znanych objawach i sposobach tego wynaradawiania, którego podstawą jest urzędowy nakaz nieuznawania narodowości polskiej i przypisywania ludności polskiej do niemieckiej, ma obecnie spis ludności swymi kruczkami przypieczętować los przeszło milionowej ludności polskiej na pograniczu, na ziemi własnej, nie mówiąc o setkach tysięcy ludności, która poszła głębiej do Niemiec dla chleba".

Autor artykułu, p. St. St., uważa chwilę obecną za najstosowniejszą do podniesienia tej sprawy na forum międzynarodowym. To samo mówi P.P.S.

„KRZEPIĄCY" FAKT

Jak doskonale rozumieją się różne i pozornie daleko od siebie stojące odłamy obozu antydemokratycznego, niech świadczą komplementy, których od konserwatywno - obszarniczej „Polityki" doczekał się naprawiacki „Zespół", pozwalający sobie na krytykowanie z lewa(!) ruchu ludowego i obłudne kokietowanie młodzieży chłopskiej. Organ braci Bocheńskich pisze o „Zespole" w ten sposób: „Fakt, iż to pismo w sprawach polityki mniejszościowej i zagranicznej głosi poglądy prawie niczym nie różniące się od naszych, jest naprawdę **krzepiący**".

Stanowisko w polityce zagranicznej jest dziś, jak wiadomo, dość niezawodnym sprawdzianem dla przeprowadzenia lini podziału między reakcją a obozem demokratycznym.

WZORY STYLISTYCZNE

Powstrzymujemy się tym razem od umieszczenia w zeszycie „Epoki" obszerniejszej rubryki **„Zachód mówi"**, gdyż wypadki biegną tak szybko, że zestawienie, nim dojdzie do Czytelnika, może już być przestarzałe wobec wypadków dnia następnego. Ale, mimo wszystko, chcemy z przygotowanych do tego zestawienia urywków, przytoczyć tutaj jeden:

Oto, co pisze „Völkischer Beobachter": „Z cynizmem, jakiego nie znajdzie się u najbardziej zezwierzęconych morderców w historii kryminalistyki podjęły krwawe psy czeskie i organizacje morderców swe niszczycielskie dzieło w kraju Niemców Sudeckich... Z uśmiechem i zadowoleniem przyjmował oberbandyta z Hradczynu sprawozdanie o rozwoju niszczycielskiej roboty w Sudetach, przeprowadzanej z planowością i diabelskim rozmysłem... Czescy „hranicarze" zostali wzmocnieni posiłkami złożonymi z zawodowych zbrodniarzy i innej, bojącej się światła, hołoty z praskiego świata podziemnego, przywykłej do życia z morderstw i kradzieży... Kłamstwami mógł światowy oszust Benesz zbudować swe państwo, ale kłamstwami go nie uratuje. To państwo musi zostać rozbite."

✕ UCHWAŁA.

Od Zarządu Klubu Demokratycznego w Warszawie otrzymaliśmy z prośbą o umieszczenie następującą uchwałę:

„Klub Demokratyczny przyłącza się do głosów demokratycznych stronnictw i prasy, wypowiadających się za uczczeniem dwudziestolecia Niepodległości Polski przez najszerszą amnestię dla wszystkich więźniów, pospolitych i politycznych, dla emigrantów politycznych, dla izolowanych w obozie odosobnienia, upatrując w takim akcie najgodniejszy sposób uczczenia uroczystej rocznicy oraz najlepszą drogę do istotnej konsolidacji społeczeństwa".

Niewspółmierne zestawienia „Zwrotu"

Tygodnik „Zwrot", w odpowiedzi na zarzuty „wbijania klina" pomiędzy P.P.S. a Stronnictwo Ludowe, odpowiada kategorycznym odgrodzeniem się od tego rodzaju pomysłów:

„Nie pójdziemy razem z narodowcami, którzy popierają totalizm i nie pójdziemy razem z socjalistami, którzy popierają sanację". — Oto zasadnicze stanowisko „Zwrotu". Stanowisko to mógłby niewątpliwie przyjąć każdy demokrata, gdyby nie nasuwało ono pewnych wątpliwości natury, by tak rzec, stylistycznej.

do totalizmu. Nietotalistyczni narowiec" tak jak się je dzisiaj w Polsce rozumie, jako równoważnik słowa „nacjonalista", to trzeba stwierdzić, że „narodowiec, który popiera totalizm" jest zjawiskiem typowym. Każdy zwolennik p. Kowalskiego czy p. B. Piaseckiego, zdaje sobie sprawę, że panowie ci dążą właśnie do totalizmu. Nietotalistyczni „narodowcy znajdują się jedynie w Stronnictwie Pracy (i to nie wszyscy! — pomysły konstytucyjne p. gen. Hallera bliższe były jakichś systemów elitarnych niż normalnej, parlamentarnej demokracji). Poza Stronnictwem Pracy nietotalistyczni „narodowcy" to chyba jakieś jednostki, nie występujące publicznie. Dlatego odrzucając współpracę z „narodowcami popierającymi totalizm", „Zwrot" de facto odrzuca możliwość współpracy — jeśli idzie o Polskę — z całą niemal, poza Stronnictwem Pracy, nacjonalistyczną prawicą.

Naodwrót, „socjaliści, którzy popierają sanację" to zjawisko któremu trudno dać nazwisko. Obóz sanacyjny to odmiana totalizmu. „Socjalista", który popiera sanację, przestaje być nie tylko socjalistą, ale demokratą. O tej prostej prawdzie może pouczyć redaktorów „Zwrotu" każdy szeregowiec P.P.S., który przeżył sanacyjny szturm do bram tej partii i pomagał ten szturm odpierać. O prawdzie tego elementarnego stwierdzenia świadczy najlepiej kariera różnych Jaworowskich czy innych Wojtków Malinowskich. Ludzie ci nienawidzą P.P.S., socjalizmu i demokracji nie mniej niż pp. Kowalscy, Puziewicze i Piaseccy. Każdy robotnik, każdy człowiek, interesujący się życiem politycznym, wie, że walka o demokrację jest sztandarowym hasłem socjalizmu, że więc ktoś popierający sanację, popada w sprzeczność z zasadą programu socjalistycznego.

Tak więc ‚narodowiec, który popiera totalizm" postępuje zasadniczo zgodnie ze swoją ideologią—„socjalista", który popiera sanację, tak samo, np. popierający sanację członek Stronnictwa Ludowego lub Stronnictwa Pracy, mija się z swoją ideologią. Czy więc można uznać za zupełnie szczęśliwe sformułowanie „Zwrotu"? Czy nie lepiej, zamiast zestawiać dwie niewspółmierne wielkości, napisać poprostu: „Nie pójdziemy z nikim, kto popiera totalizm, a więc także z nikim, kto popiera sanację, lub totalizm „narodowego" obrządku"?

To jedno. Następnie: skoro „Zwrot" tak słusznie i pięknie sprecyzował swą zasadniczą pozycję wobec zagadnień chwili bieżącej, to jak pogodzić z tym fakt, że równocześnie znajduje tkliwe słowa powitania dla listu p. Trąmpczyńskiego? Wprawdzie nie uważamy p. Trąmp-

czyńskiego, b. Marszałka Sejmu, za wroga Nr 1 demokracji polskiej, ale — jak dotąd p. W. Trąmpczyński jest członkiem Stronnictwa Narodowego, partii o wyraźnie totalistycznym obliczu. „Front" głoszony przezeń w tym liście, mający obejmować „wszystkich prawdziwych narodowców" (a więc, wolno przypuścić, napewno Stronnictwo Narodowe wraz z pp. Kowalskim, Wróblem i Klikarem, oraz, prawdopodobnie, także i O.N.R-y wszelkiego typu) plus pewne koła Stronnictwa Pracy i Stronnictwa Ludowego, miałby przecież również wybitnie totalistyczne oblicze. Nie głosiłby wprawdzie monopolu do władzy jednej grupy totalistycznej wobec innych, ale stałby na gruncie wspólnego monopolu do władzy wszystkich grup totalistycznych wobec ludu polskiego.

Jest to sprawa tym ważniejsza, że, jak pisaliśmy w poprzedniej „Epoce" koncepcja Wojciecha Trąmpczyńskiego nie jest bynajmniej odosobnioną. Zaznaczmy, że takie same tezy („od Dmowskiego do Witosa") głosił inny współpracownik „Zwrotu", p. Romer w krakowskim „Głosie Narodu", że ta koncepcja była przewodnią myślą akcji „Głosu Narodu", pisma, bliskiego przecież „Zwrotowi", w ciągu ostatnich tygodni, i że „Zwrot", skory naogół do polemiki, nie uznał za stosowne od tej kampanii się odgrodzić. Pomijając już polityczne kulisy tej historii, czy „Zwrot" nie sądzi, że poniekąd ubliża się Stronnictwu Ludowemu i jego czołowym działaczom, którzy dziś stali się czymś w rodzaju symbolu, niejako wcieleniem demokracji polskiej, kiedy się przypuszcza, że ci działacze mogliby zasiąść do wspólnego stołu z pp. Budzyńskimi czy Hrabykami? Czy nie jest to wprost obelgą, kiedy się mówi, że z czołowych ludzi demokracji polskiej mogliby oni stać się nagle wodzami polskiego totalizmu? Kiedy tego rodzaju wersje głoszą rozmaite wypędki endeckie, które szereg razy zmieniały już mocodawców i posady, to ostatecznie trudno się dziwić. Oni poprostu inaczej nie rozumieją polityki. Ale kiedy orga bliskie „Zwrotowi" wypowiadają tego rodzaju sugestie, czy „Zwrot" nie powinien odgraniczyć się od nich, wziąć w obronę ludzi, którzy pisują m. i. także w „Zwrocie"?

Tych kilka uwag wywołał pozytywny zasadniczo i sympatyczny artykuł „Zwrotu". Wypowiedzieliśmy je, gdyż wierzymy, że tylko clara pacta claros faciunt amicos, że tylko jasne sformułowania zabezpieczają jasną, wyraźną współpracę. Platforma „Zwrotu": odcięcie się od wszelkiego totalizmu i od wszystkich, którzy popierają totalizm—jest, zdaniem naszym, takim właśnie jasnym postawieniem sprawy. I dlatego każdy pragnąłby, ażeby trwała ta „wspólnota wysiłków", o której „Zwrot" mówi, że „dąży do niej z najlepszą wolą". Zwłaszcza pragnąłby gorąco, ażeby spełniło się końcowe oświadczenie „Zwrotu" pod adresem P.P.S.: „na okres wspólnej walki, walki o wspólne dobro ze wspólnym nieszczęściem, będziemy lojalnymi sprzymierzeńcami".

Rezerwa na „czarną godzinę"

„Młodo" konserwatywna „Polityka" — niezrażona rekuzą, udzieloną przez endecję starokonserwatywnemu „Czasowi" — w dalszym ciągu marzy o stworzeniu wielkiego frontu antydemokratycznego, w skład którego weszły by skłócone dotąd żywioły sanacyjne i endeckie. Jak zapewniają konserwatywni panicze — „i mądrzejsi sanatorzy i mądrzejsi narodowcy rozumieją, że tylko z współdziałania tych dwóch obozów może wyrosnąć siła, zdolna zastąpić obecny stan rzeczy, stać się spadkobiercą reżymu i stworzyć mocne oparcie dla rządów śmiałych, silnych, długotrwałych i realizujących program na wielką skalę zakrojony. By ta siła mogła zwyciężyć — trzeba jej jednej rzeczy: wspólnego dowództwa. Póki ta koalicja nie ma swego Focha, póty będzie w rozsypce i będzie przegrywać. Foch zresztą jest".

Nie będziemy tu dociekali, kogo organ braci Bocheńskich upatrzył na Focha reakcji polskiej. O ile nam wiadomo, kandydatów jest legion — i to zarówno po stronie sanacyjnej, jak i endeckiej. Jak się ci liczni pretendenci do wodzostwa między sobą pogodzą, względnie, kto między nimi wybierze i jakie tu probierze zadecydują? Odpowiedź na to pytanie zależy od tego, kto w obozie reakcyjnym narzuci innym odłamom antydemokratycznym swoją koncepcję ostatecznej totalizacji naszego życia publicznego. Pisaliśmy już na tym miejscu, że stary konflikt między sanacją i endecją, zatargi między różnymi odłamami sanacji, walka konkurencyjna między grupami oenerowskimi o względy i łaski reżymu — wszystko to wiąże się w tej chwili z zagadnieniem: kto koniec końców będzie totalizm realizował, kto więc stanie na czele skonsolidowanego obozu antydemokratyczengo. Pisaliśmy, że różnice programowo - polityczne, ideowe (jeśli można tak powiedzieć) stają się coraz bardziej zewnętrzne, formalne, bo treść wszystkich programów jest identyczna: walka z demokracją, totalizm, nierozerwalne związanie naszej polityki zagranicznej z polityką ‚osi," I dekoracja ideologiczna na wszystkich tych programach jest coraz bardziej jednostajna: jaknajskrajniejszy nacjonalizm, antysemityzm, koniunkturalny pseudo - katolicyzm, wyraźnie sprzeczny z tak licznymi ostatnio enuncjacjami Watykanu.

Toteż, popełnił by grubą omyłkę, ktoby z faktu negatywnego ustosunkowania się Stronnictwa Narodowego do wyborów parlamentarnych, wnioskował, że endecja znajduje się w zasadniczej opozycji wobec systemu sanacyjnego, antydemokratycznego! Omawiając niedawno sytuację, stworzoną po rozwiązaniu izb i rozpisaniu wyborów, „Robotnik" bardzo słusznie przypomniał, że obóz t. zw. narodowy nigdy nie występował za zmianą sławkowej ordynacji wyborczej w kierunku dopuszczenia do głosu społeczeństwa, że nigdy w ogóle sprawy tej w swojej kampanii politycznej nie poruszał. Jest też rzeczą znaną powszechnie, że endecka polityka zagraniczna niczym w gruncie rzeczy nie różni się dziś od sanacyjnej. Ale Stronnictwo Narodowe, które w porównaniu z izolowaną w społeczeństwie sanacją posiada niewątpliwie oparcie w pewnym odłamie ludności, nie chce i nie potrzebuje przyjmować bezpośredniej odpowiedzialności za obecny system rządzenia, a nawet może sobie pozwolić na ostrą jego krytykę, krytykę oczywiście nie z demokratycznego, lecz z jawnie totalistycznego punktu widzenia. W ten sposób endecja salwując swoją popularność na tym terenie, gdzie oddawna jest zakorzeniona, uchodzi za partię opozycyjną, nie ponoszącą żadnej winy za istniejącą rzeczywistość polityczną i dzięki temu może pretendować do roli czołowego i rządzącego od-

łamu polskiego obozu antydemokratycznego, do roli wyłącznego realizatora najbardziej totalistycznych tęsknot naszego wstecznictwa. Dlatego właśnie, jak już pisaliśmy, endecja odpowiada odmownie na sanacyjne propozycje kompromisu. Żąda wszystkiego.

W ten sposób Stronictwo Narodowe pozostaje wielką rezerwą na ewentualną „czarną godzinę". Ale rola endecji nie wyczerpuje się bynajmniej w wyczekiwaniu chwili, kiedy wodzowie jej zasiądą wreszcie w fotelach ministerialnych i rozpoczną dzieło „zbawiania" Rzeczypospolitej wedle swej recepty. Już dziś Stronnictwo Narodowe oddaje nieocenione usługi całemu obozowi antydemokratycznemu; czyni wszystko, co leży w jego mocy, dla utrwalenia systemu sanacyjnego. Obiektywny sens polityki endeckiej w chwili obecnej polega na wzmacnianiu tamy, wznoszonej przez sanację przeciw rosnącej w całym kraju fali demokratycznej. „Narodowa" akcja w „terenie", skierowana przeciw stronnictwom demokratycznym, przeciw ruchowi socjalistycznemu i ludowemu, szowinistyczna i antysemicka kampania, siejąca w społeczeństwie waśń narodowościową i religijną, masowa propaganda hitleryzmu — wszystko to utrudnia walkę obozu demokratycznego o wolność i prawo, ułatwia zaś sanacji manewrowanie i lawirowanie w skomplikowanej, piętrzącej coraz to nowe trudności, sytuacji politycznej. Niezależnie od tego, co mówią, czy nawet myślą, wodzowie Str. Narodowego, polityka endecka jest w chwili obecnej potężną i bardzo skuteczną dywersją na korzyść systemu sanacyjnego. Endecja staje w ten sposób w drodze demokratycznemu wyjściu z impasu.

I jeżeli w ciągu ostatniego dziesięciolecia można się było przekonać, że kto popiera sanację, przyczynia się przez to samo do wzrostu sił endeckich, to rzeczywistość dzisiejsza wskazuje, że i naodwrót: popieranie Stronnictwa Narodowego, zalecanie sojuszu z nim, propagowanie idei „opozycyjnego" bloku z endecją, wychodzi jedynie na korzyść sanacji. Nie można skutecznie walczyć o likwidację systemu antydemokratycznego w sojuszu z obozem, który pragnie system ten udoskonalić, skonsolidować, wzmocnić, oprzeć go na masowej podstawie. A to jest przecież zadaniem Stronnictwa Narodowego. Rozumieją to „i mądrzejsi sanatorzy i mądrzejsi narodowcy". Musi to zrozumieć i demokracja.

Tu musimy wyczarować przyszłość

(dokończenie)

SCENA III

(Wchodzą Antek i Franek... W rękach sierpy... Podają ręce obecnym).

Janusz: Jak się macie?

Antek: (do Janusza). Dobrze, że tu jesteście. Już dawno chciałem się z wami spotkać.

Janusz: (z niepokojem). Czy co nowego?

Antek: (z żalem). U nas ciągle nowe... Przejdzie jedno, drugie się zaczyna. Przestanie matka płakać, że duszę zaprzedałem diabłu — zaczyna ojciec urągać, że jak czytać będę, od pracy zacznę uciekać. Jakiś strach wszędzie, obawa... Lękają się czegoś... (śmieje się). Ot, wczoraj Franka omal ojciec nie wybił.

Andrzej: (do Franka). A nic mi o tym nie mówiłeś.

Franek: Bo i nie warto. Ojciec zresztą, jak wieśniak każdy. Wie tylko tyle, co usłyszy w kościele. Ludzie mu nagadali, napletli: przyszedł, chwyta za kłonicę. Matka stanęła między nami, i na tym się skończyło... Et, z ojcem pół biedy jeszcze... Inni gorsi...

Antek: O, jak z Julkiem było.

Janusz: Cóż takiego?

Andrzej: Ze trzy dni leżał...

Antek: A bo głupi... Dać się tak sprać, scudaczyć...

Janusz: (z oburzeniem).Ojciec go wybił? I za co?

Franek: Albo on wie, za co? Ludzie go podbechtali. Mało to u nas na wsi takich rajców? My we dwóch (wskazując oczami na Antka) drogą przejść już nie możemy. Ot takie małe fąfle krzyczą za nami: „Lutry, nieznajbogi"! (śmieje się).

Antek: A co najgorsza, że nas wszystkich mają za bandytów...

Janusz: Za ban-dy-tów?

Franek: Tak, za bandytów. Głowa pęka, ręce od zamiarów odskakują... tak! za bandytów... Nas za bandytów mają.

Andrzej: Ach, i ja już mimochodem słyszałem o tym, ale nie zwróciłem uwagi.

Janusz: (chodzi szybko zdenerwowany). Bandyci! — A to niepowszedni pomysł... To pachnie jezuitą... To nie lud wymyślił. To może ugryźć jak zatruta strzała (zatrzymuje się). I któż tak mówi?

Antek: Mówią wszyscy. Z nami prawie już rozmawiać nie chcą... Nawet Julek... Głupi... Śmieje się z niego cała wieś, że go stary natłukł, a on woli ten śmiech, a od nas ucieka. Ledwie zobaczy z nas którego, już go niema. I tak wszyscy... A prawdziwych bandytów nie boją się... Chodzą z nimi, przyjmują poczęstunek...

Franek: A Stasiek — bandyta ręce założy w kieszenie i mówi: „ja tu psia mać naznaczony jezdem bez partyje na prezesa... Wszyscy oszusty i złodzieje... Ja jeden zaprowadzę politykę i porządek"...

Janusz: A cóż na to wasi gospodarze?

Franek: Idą za nim do karczmy i piją wódkę. Kto daje zadarmo, ten najlepszy...

Janusz: A my bandyci?

Franek: Bandyci...

Janusz' Wiecie? (podnosi rękę do góry... Nagle namyśla się. Nachyla się nad siedzącymi i coś szepce... Wszyscy przysuwają się do siebie... Chwila tajemniczej rozmowy).

Andrzej: (półgłosem). Przejdźmy lepiej do sadu.

Janusz: A dobrze, dobrze... (Wychodzą).

SCENA IV

Feliks: (wchodzi — siada w ganku — pot z czoła ociera — jest zmęczony — woła:) Jaguś, Jaguś!

Jagna: (wchodzi). Przyszliście? Zara dam wieczerzę.

Feliks: Andrzej w chałupie?

Jagna: (robiąc pogardliwy gest). Gości ma.

Feliks: Ze dwora?

Jagna: Ze dwora... A i Antek, Franek...

Feliks: (zlekceważeniem). Ma się z kim wdawać.

Jagna: W sadzie się schowały... radzą... sepcą... jakieś tajemnice (tajemniczo). Pono o nowych rządach... A juści — tak... chce im się rządów chłopskich — niech chłopskie rządy nastaną, krew się poleje. Jo wiem, jo wszyćko wiem. Jo słysę ten chłopski bunt. W głowach i w ocach im się pali — a to je niedobro sprawa — nie! Iskry się chłopu zapaliły w oczach, ale z tych iskier nie będzie ognia, co krzepi, ino płomień, co chłopskie chałupy podpali. Jak takie łuny się po wsiach rozejdą a zaczną grzać, oj płacz będzie i żal... Tuman jakiś na ocy chłopu wlazł, a on myśli, że to jego królowanie. A królestwa chłopskiego nie bedzie... nigdy. Póki mu ta ścierwo wesz po łbie łazi i wygryza rozum — w pysk każdy go będzie prał.*)

Jagna: Takie po ludziach chodzą gadki, gwary.

Feliks: A chodzą. Jak te zmory po rozstajach. A głupi chłop słucha, co mu wiatr z zapłota przyniesie. Byle diabeł po psiemu sceknie, już z chałup wychodzą ludzie z usami. A ja nikomu nie wierzę... Ślachtę w rękę całuję, bom chłop i cieśla, a po dworach mam zarobki dobre. Ale nie sprzyjom nikomu. Ziemię mom swoją i tyla. To je mojo polityka.

Jagna: Cisej mówcie, bo nas podpalą...

Feliks: Kto?

Jagna: A bo ja wiem. Może sam Andrzej.

Feliks: (przerażony — oczami odskakuje od tej nagłej myśli). A cóż to Andrzej podpalacz, zbój?

Jagna: Jo wiem. Ale się wdaje z nimi.

Feliks: Też nie podpalacze.

Jagna: Tak... wy zawdy trzymacie za Andrzejem, bo wam najlepiej dogodzi. Ciesycie się, zeście se wychowali pana. A pan siedzi, jak jaki hrabia, służ mu jak ten pies.

Feliks: A cóż? — wypędzę go?

Jagna: Prawie mu tak zrobić.

Feliks: (ze zdziwieniem). Wypędzić? Jo jezdem ociec.

Jagna: To i cóż? Do śmierci go trzymać bedziecie? I tak pokrzywdziliście wszyćkie dzieci dlo niego.

Feliks: (z bólem). Jo wam krzywdę zrobił? Jo całe życie na was pracował. Jo temi dwoma rękami zrobiłem was wszyćkich bogacami!

Jagna: Mielibyście jesce więcej, zebyście nie wydali na Andrzeja.

Feliks: A ty mi nosa do Andrzeja nie tkaj! Com dał, to z mego.

Jagna: Tak... u was córki zawdy były za nic... tylo ten jasny pan ocko w głowie. Mówiliście ciągle: „cekajta jak skońcy nauki, to wam da więcej niż wzion"... Cóż? dużo wam dał? Aże popuchliśwa od tego dania.

Feliks: To wom jesce da.

Jagna: Da... W gardle nom stanie. I do was, za pozwoleniem, tyłem się odwróci...

Feliks: A scułabyś? co? jak na psa... scuj! chytra w tobie natura. Garnęłabyś wszyćko pod siebie. A drugich wypędzić. Jo nie wypędzę syna.

*) W tym miejscu opuszczenie w rękopisie (przyp. Red.)

Jagna: To go oprawcie w ramki i jak obraz trzymajcie...

Feliks: (zniecierpliwiony) Et!... (wychodzi).

(Jagna ociera łzy fartuchem).

SCENA V

Marysia: (wchodzi). Płaces?

Jagna: Nie znas to tatula? Wszyscy źli... Jeden Andrzej dobry... (pokazując ręką na sad). Byłaś tam?

Marysia: Kucnęłam pod samym parkanem. Ani słowa nie słychać.

Jagna: Nie wymyślą oni nic dobrego, ino jesce po wsi ten dur rozrzucą serzej.

Marysia: (ze smutkiem). Takie casy nastały... Coraz gorzej... Za łby się biorą. A Franek mówi, ze z tego lepiej nastanie.

Jagna: (z wyrzutem). Maryś! Ty Franka wybij sobie z głowy.

Marysia: (rozżalona). Wszyscy wybij, wybij! A ja drugiego nie chcę. Jego jednego lubię.

Jagna: A cy ty wiesz, ze to je grzech na całe życie z takim potępieńcem.

Marysia: Kto go potępił?

Jagna: Kto? ludzie, pan Bóg... Sam się oddał na potępienie. (z oburzeniem). Oni w Boga nie wierzą. Ty wies? Ino heretyckich ksiązek pilnują i ludzi naucają jak służyć diabłu. Bierz na siebie ten grzech. Wyjdź za niego. Będzies odrazu miała męża i diabła. Andrzej, z dziedzicowym synem błogosławieństwo wuma dadzą i ta Srulowa Sura bedzie ci za druchnę, bo żadna dziewcyna porzundna nie pójdzie na ślub. Tamtym księżom już złe rozum odebrało, to i tobie odbierze. Wdaj się tylo z nimi. Tfy! wstyd! oni katoliki z tą rudą Surą żeby się wdawały. Może ci kazą jesce żydowską wiarę przyjąć.

Marysia: Ty tak mówis, Franek inacej.

Jagna: A to go słuchoj. Stryjo ci mówili, wujna, ciotka Marcinowa. Nie wierz nikomu. On jeden prawdę mówi.

Marysia: (zmieszana w najwyższym stopniu). Ja Franka lubię... i jo musę... przeklinojcie...

Jagna: A tatulo dadzą ci to?

Marysia: (w rozpaczy). Dadzą — muszą dać. Ja Frankowi przysięgołam.

Jagna: A to niech on tero przysięgnie, że się nie bedzie wdawał z niedowiarkami. Niech się wyprze heretyckich ksiązek, niech się wszyćkiego wyprze.

Marysia: Żeby on chciał!

Jagna: Nie zechce? on? dziadyga taki? Toz twoje wiano większe od ich całej gospodarki... Tyle gruntu weźmie i nie zechce?

Marysia: A jak nie zechce?

Jagna: To ty jego niechciej.

Marysia: Nie chcij! Tak jakby ziemia nie chciała, żeby ją słońce grzało. Kiedy ci ślepiami temi spojrzy, to jakby tęca w ocy wpadła.

Jagna: A z takiej tęcy później płac... i cierpienie... na całe zycie... Na całą wiecność.

Marysia: Jakże mi zyć tera?

Jagna: Słuchać ludzi dobrych i iść po Bogu...

Marysia: (z rezygnacją). Musi twoja prawda. Powiem... Wszyćko mu powiem... Jak chce...

Jagna: I nie ustępuj ani, ani...

(Wychodzą).

(Pisane w roku 1906/7).

L. ST. LICIŃSKI.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Adam Madler: Irena Munk. Powieść. Warszawa 1938. Nakładem księgarni Hoesicka.

Rafał Len: Ludzie na schodach. Powieść. Warszawa 1938. Wydawnictwo M. Fruchtmana.

Maksymilian Boruchowicz: Miłość i rasa. Powieść. Kraków 1938. Skł. główny: Udziałowa Spółka Wydawnicza.

E. Szemplińska - Sobolewska: Potrójny ślad. Powieść. Warszawa 1938. T-wo Wydawnicze „Rój".

James Morier: Przygody Chadżi - Baby. Warszawa 1938. T-wo Wydawnicze „Rój".

KOMUNIKAT

Instytut Józefa Piłsudskiego poświęcony badaniu najnowszej historii Polski zawiadamia, że podjął prace nad przygotowaniem nowego wydawnictwa pt. „Józef Piłsudski w ilustracji fotograficznej". Wydawnictwo, kilkutomowej objętości, stanowić będzie celowe uzupełnienie niedawno wydanych „Pism Zbiorowych" Marszałka. Zawierać ono będzie możliwie wszystkie fotografie Józefa Piłsudskiego, dokonane w kraju i za granicą, w układzie chronologicznym, opisane pod względem treści, czasu i miejsca.

Ze względu na specjalny charakter wydawnictwa Instytut prosi wszystkich, którzy posiadają jakiekolwiek mało znane fotografie Józefa Piłsudskiego, aby zechcieli przesłać je do Instytutu, lub też zawiadomili o posiadaniu takich fotografi. Po wykorzystaniu, zdjęcia fotograficzne będą zwrócone bezwłocznie właścicielom, przy czym w wydawnictwie będą uwidocznione nazwiska ofiarodawców fotografii. Instytut gwarantuje, że zdjęcia będą zwrócone w stanie nieuszkodzonym. Byłoby pożądane by nadsyłający fotografie załączyli do nich szczegółowe objaśnienie treści zdjęcia, miejsca i czasu powstania.

Instytut prosi o nadsyłanie fotografii przed dniem 1 listopada b.r. pod adresem: Instytut Józefa Piłsudskiego w Warszawie, Aleje Ujazdowskie 1.

Do Przyjaciół i Prenumeratorów „EPOKI"

Niejednokrotnie wypowiadaliśmy zdanie, że współpracownikami „Epoki" są nie tylko ci, którzy w niej piszą, ale także ci wszyscy, którzy jej idee podzielają i rozpowszechniają. Dla dalszego powodzenia naszego pisma jest rzeczą niezbędną stałe jednanie nam nowych prenumeratorów, przez powiększanie bowiem ich kręgu wzmacnia się podstawa materialna „Epoki".

Jakkolwiek zasięg oddziaływania „Epoki" wzrósł znacznie od chwili jej wznowienia, jednakże ambicją redakcji zgodnie z wymaganiami chwili obecnej jest takie rozszerzanie i doskonalenie pisma, aby jako silne ognisko myśli mogło jeszcze skuteczniej przeciwstawiać się naporowi ciemnych i brutalnych sił.

W rękach więc przyjaciół „Epoki" spoczywają możliwości jej szybkiego i dalszego rozwoju. W tym przeświadczeniu niechaj nam wolno będzie odwołać się do naszych stałych Czytelników i prosić o zdobywanie nowych abonentów i o adresy osób, którym należy przesłać numery okazowe, osób, co do których można mieć uzasadnione domniemanie, iż przesłane numery przyjmą jako zachętę do zgłoszenia prenumeraty.

Odwołujemy się także do tych naszych Abonentów, którzy zalegają w opłacie prenumeraty, o jak najszybsze jej uregulowanie, gdyż zaległości te ciążą w sposób dotkliwy na budżecie pisma.

Wydawnictwo „Epoki"

Od Wydawnictwa

Abonentów, którzy zalegają z opłatą prenumeraty za kwartał ubiegły i bieżący prosimy o uregulowanie należności

KSIĄŻKI NADESŁANE

Juljusz Wit: Wam. Poezje. Warszawa

Dr. Joachim Mettalmann. Wprowadzenie do zagadnień filozoficznych. Część I. Skład Główny w księgarni D. E. Friedleina. Kraków 1939.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA, WARSZAWA, UL. ORDYNACKA 5 — TEL. 213-90 — KONTO P. K. O. 26.630

REDAKTOR przyjmuje w środy i w piątki od godziny 17-ej do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.
PRENUMERATA kwaralnie — zł 4.—. Numer pojedyńczy 40 gr.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm, lub jego miejsce (szer. 90 mm) zł. 1.—. w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm) gr 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: HENRYK LUKREC. 5292 Odbito w Zakł. W. Piekarniaka, Warszawa, Ordynacka 3.